TYDZIEŃ
polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

REDAKTOR
JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą 1 sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi ćwierćrocznie **1 talar**.

№ 15. Drezno, dnia 9. Kwietnia 1871. **Rok II.**

Treść: Kronika tygodniowa. — Wycieczka do Krakowa. — Korespondencje: Z Petersburga. — Nowe książki: Charles de Saxe Duc de Courlande. — Wiedza zastosowana do rolnictwa i fizjologij. — Rozmaitości. — Ogłoszenie. — Odcinek: Nowella przeszłości.

Kronika tygodniowa.

Łatwo jest przewidzieć, że rząd teraźniejszy Francji, zmuszony do przytłumienia powstania, wystąpiwszy po długiem wahaniu do walki z niem, — zwycięży, poparty przez ludzi wszelkich odcieniów, czujących potrzebę zachowania porządku. W podobnych położeniach dyktatura nawet byłaby zrozumianą i wytłumaczoną. Cóż powiedzieć o tych, którzy korzystają z osłabienia kraju, aby mu swe doktryny narzucić? — Boleść przejmuje, patrząc na to niespodziane a krwawe rozwiązanie, które za sobą poprowadzi wzmocnienie reakcji i nieprzewidziane następstwa. — Między Zgromadzeniem narodowém, które okazało się już reakcyjném i nie kryło z dążnościami monarchicznemi — a czerwoną rzeczpospolitą Ratusza, między dwoma skrajnémi prądami, trudno by ludzie umiarkowani, dobrej woli, mogli otrzymać przewagę i utrwalić byt rzeczypospolitej możliwej, uczciwej — rządnej. Cała historija Francji jest wielką nauką dziejową — lękamy się jej powtórzyć raz jeszcze, byśmy źle zrozumianémi nie byli. — Naród, który raz wszedł na drogę rewolucij pięściowych, zamiast pracą i charakterem dorabiać się stopniowo swobód i praw u władzy, a reform należnych rozwijaniu się swemu — wpada w ten rodzaj choroby chronicznej, gorączki rewolucyjnej i z niej, niestety umrzeć może.... Tak Francja skutkiem niecierpliwości, fałszywych a świetnych i błyskotliwych aforyzmów rzuconych na niedojrzałe umysły — miasto trudu powolnego obrawszy sobie drogę rewolucyjną, całe swe siły na niej stargała. — Dziś jest prawie niemożliwym jakikolwiek rząd w tak rozstrojoném społeczeństwie... gdy właśnie tak potężnej potrzeba jedności i siły, aby się podźwignąć!! Cóż okropniejszego nad wojnę domową, nad walkę bratnią pod okiem nieprzyjaciela, na świeżych pobojowiskach!! Dreszcz przechodzi myśląc... jaką zbrodnią dziś, jaką winą było podniesienie powstania przeciw jakiemukolwiekbądź rządowi, choćby w imie nie wiem jakich zasad. — Miłość ojczyzny powinna była kazać o wszystkiem zapomnieć.... Koniec już dziś się przewidzieć daje, bo powstanie utrzymać się nie może; lecz rząd zwyciężywszy je, czy się sam utrzymać potrafi?? Cesarstwo niemieckie nie miesza się do tej kwestji wewnętrznej i cierpliwie czeka jej rozwiązania, starając się powolnością dla Versalskiego rządu je przyspieszyć. Układy o pokój w Brukselli idą powolnie, lecz zerwane nie zostały. — Zwycięztwo pana Thiersa da im popęd nowy.

Nad Dunajem w Rumunji położenie nader niebezpieczne, dotąd jeszcze się przeciąga, a rząd księcia Karola stara się własnémi siły, bez obcej interwencji — kraj uspokoić. — Skutek jednak wątpliwy. — W Austrji nowe ministerstwo stara się o układy z narodowościami, lecz dotąd pokryte one są tajemnicą. Część delegacji polskiej pp. Grocholski, Czerkawski i Zyblikiewicz pozostali w Wiedniu, jak się domyślają,

---

NOWELLA PRZESZŁOŚCI.
1555.
PIERWSZA OPERA.

Z wieczorów orkestry
HEKTORA BERLIOZA
wyjął i przełożył
ERNEST BUŁAWA.

Jest na północy Europy, — powiada Berlioz w prologu swoich wieczorów orkestry,* pewien teatr liryczny, gdzie stało się zwyczajem, że muzycy, z których niektórzy niegłupi, oddają się czytaniu a nawet gawędom mniej więcej literacko-artystycznym, w czasie wykonania miernych oper. Naturalnie miewają sposobność do mnogich odczytów i rozpraw! Pod wszystkiemi więc pulpitami znajduje się taka lub owaka książka. Tak, że im więcej muzyk wydaje się być zagłębionym w partyturę, zajętym wyliczaniem pauz i chwilami odzewów swoich (ses repliques), tém mocniej bywa zajęty szczególniejszémi scenami Balzaka, cudnémi rysami obyczajowémi Dickensa, a nawet nauką niektórych umiejętności. Znam jednego, który w ciągu piętnastu pierwszych przedstawień pewnej wsławionej opery, czytał, odczytywał, rozpamiętywał i zrozumiał trzy tomy Cosmosa Humboldta; innego, który w czasie powodzenia pewnego głupiego utworu, dziś zapomnianego, potrafił nauczyć się po angielsku, i jeszcze innego, który

* Les Sojrées de l'orchestre p. Hektor Berlioz. Całość dzieła, którego cząstkę tu podajemy, jakkolwiek nosi cechę pozornie humorystyczną, jest w istocie rzeczy głęboko artystycznie pomyślaną i już jako utwór literacki takiego kompozytora jak Berlioz jest ciekawém, choćby nawet nie dotykało w tych subtelnych dialogach między członkami orkestry najważniejszych zagadnień sztuki, choćby nie miało takich ustępów, jak te co są poświęcone Glukowi i Spontiniemu. Korespondencję Benwenuta Cellini, która nie może nie odbić się jak zwierciedle w duszy każdego prawdziwego artysty, tę korespondencję na faktach jego pamiętników osnutą podajemy tém chętniej publiczności, że mamy jej wkrótce przełdożyć cały przekład „Instrumentacji“ tego arcydzieła Berlioza, jednego z tych, na których tyle zbywa naszej muzykalnej literaturze, a ustęp powyższy, podalibyśmy chętnie jako przedmowę do księgi Instrumentacji tego największego instrumentatora, a niemniejszego, choć tak długo zapoznanego, kompozytora. (Przyp. tłum.)

dla ostatecznego umówienia o to co przypadnie dla Galicji. — Powtarzają się pogłoski o mianowaniu p. Grocholskiego ministrem bez teki, a hr. Kazimierza Krasickiego namiestnikiem. — Z drugiej strony zwiastują reakcję, straszą Schmerlingowskiemi rządy i podaniem ręki stronnictwu rusko-moskiewskiemu. W tém wszystkiem tyle jest mglistego, niepewnego, zagmatwanego, iż jutro jest największą w świecie zagadką.

Pomimo hucznych i świetnych uroczystości kilku, na cześć tryumfów odniesionych, — w Niemczech panuje w ogóle usposobienie jakieś smętne i trwożliwe. Pokój nie naprawił jeszcze stosunków handlowych i przemysłowych, nie zwrócił rąk do pracy, nie ukołysał umysłów, nie wpłynął na polepszenie ekonomicznego stanu..... Cierpi przemysł i niema odwagi powołać nowych sił do działania. Wyczekiwanie jest wszędzie, niemal uczucie zawiedzionych nadziei.... Dzienniki, które stały w obronie zasad liberalniejszych, widząc swe usiłowania daremnémi, rozpaczliwie wychodzić przestają. — Jutro budzi słabe nadzieje a obawy wielkie.... Kilka wojen następujących po sobie, każą przewidywać nowe.... Cesarstwo nie czuje się skończoném i trwale ukonstytuowaném.... Przyszłości zadanie wielkie i trudne....

Dnia 3. Kwietnia w parlamencie niemieckim posłowie polscy, wedle tradycji i obowiązku, w imieniu narodowości swej protestowali przeciwko wcieleniu do Cesarstwa. Przemawiał hr. Żółtowski, Dr. Wł. Niegolewski i Krzyżanowski. — Wymowa i logika, jak przewidzieć łatwo, stracone zostały.

Tylko zwycięzkiego państwa, powszechnie uznanej jenjalności księciu kanclerzowi Bismarckowi ujść mogła taka odpowiedź, jaką dał posłom polskim. Ludzie ustalonej sławy, nawet gdy nie dorównywają oczekiwaniom, dla uroku jaki ich otacza, zyskują oklaski. Tak się stało z odpowiedzią księcia, szorstką, złośliwą, wymijającą sam przedmiot, w której można znaleść wszystko co kto chce, ale nie ściśle logiczne rozwiązanie kwestji. Rozumiemy to bardzo dobrze, iż dziś, gdy siła dokonała swego, należy się zaprzeć aksiomatu i powrocić do prawa, bo nie zawsze na bagnetach opierać się można — ale nie pojmujemy zkąd się tu wzięła krytyka **rządu** polskiego, gdy nie szło o rząd ale o prawa narodowości polskiej. Rząd polski mógł być nieraz złym i niedostatecznym — nie zawsze rząd też pruski był idealnie doskonałym, — nie o rząd wszakże idzie, ale o narodowość polską, o naród mający prawo do bytu i domagający się sprawiedliwości. Gdyby potrzeba dowodu na to, że ks. Bismarck istotnie jeźli nie mówił o zasadzie to trzymał się zasady — **siła przed prawem**, — mowa d. 3. Kwietnia w sprawie polskiej byłaby najlepszym. Charakterystycznèm jest też to bałwochwalstwo bezmyślne Izby, która i śmiechem i oklaskami wtóruje szczęśliwemu mówcy, i z kilku uczciwych ludzi, mających odwagę protestowania cyniczne stroi żarty. — Ubolewamy nad tém, że naród niemiecki nawet w chwili szczęścia więcej upojeniem się daje kierować niż sprawiedliwością.

Z Rosji głuche a zawsze powtarzające się wieści o uzbrojeniach, o przygotowaniach do wojny, znużyły już wszystkich i w końcu przestały zajmować. — Być może iż stale a powolnie czynione uchodzą oczów i mylą umyślnie. — Tym czasem dla prowincji polskich nic się w ich zarządzie nie zmieniło. — Skończył tylko pamiętny byt swój i posłannictwo dezorganizacyjne komitet urządzający, który naostatek zamknięto; Królestwo wcielone jest do cesarstwa i ostatnie ślady jego autonomji zatarte zostały, bo nawet „Dziennik praw“ oddzielny wychodzić przestaje. Zapowiadają też przybycie do Warszawy hr. Sievers dla ostatecznego uregulowania spraw ministerstwa wyznań i stosunków kościelnych.

W życiu Warszawy, nie licząc nadzwyczaj mnogich odczytów na korzyść różnych instytucji i cele dobroczynne, dosyć uczęszczanych, w teatrze było bardzo wypracowane i znakomite przedstawienie **Hamleta**, a na korzyść Przytuliska obrazy z dramatu **Wanda**, przez Deotymę... Układał je Aleks. Lesser, a muzykę dorobił Gabr. Rożniecki.

Pierwszy obraz (Prolog) duch Lecha objawia się Wandzie w Karpatach. 2. poselstwo Rytygiera do Wandy. 3. przekleństwo arcykapłana bogini Herty. 4. Bóg miłości objawia się Wandzie. 5. Rytygier oddaje pierścień Wandzie. 6. wydobycie zwłok Wandy z Wisły. 7. (Epilog) uroczystość Wianków na Wiśle pod Warszawą. — Na sobotnim wieczorze (d. 1. Kwietnia) liczni wielbiciele Deotymy złożyli jej w ofierze album z fotografjami we wspaniałej srebrnej oprawie i świecznik o siedmiu płomieniach monumentalny w kształcie dębowego drzewa, z posążkiem Wandy (osobno) przez Syrewicza. Były z tego powodu mowy i improwizacja:

Najmilsi dawcy, mój ty kwiecie gości!
Dzięki wam; odtąd w świat pójdę pogodnie,
Bo mi dajecie dwa godła światłości:
Dla serca księgę, dla myśli pochodnię.

Przy jej płomieniach wczytywać się będę
W kroniki pełne drogich nam postaci...
Znów może wianków splotę na legendę
Dla sióstr, liljowych — dębowych dla braci.

Jeśli się kiedy rozbiegniem po świecie,
Skarby uniosę z pamiątek rozbicia,
Wy ze mną zawsze w tej księdze będziecie,
Dzień ten postawię na świeczniku życia.

Chociaż sierocie dola bywa ciemną,
Choć los się nieraz w gniewie na mnie zaciął,
Duchy rodziców, wy jesteście ze mną,
Kiedy mi tylu zsyłacie przyjaciół.

Deotyma ofiarowała w tym dniu na pamiątkę jego, 300 rubli na opłatę wpisu półrocznego dla niezamożnych uczniów. — Po przedstawieniu obrazów, gdy Deotymę przyjmowano u głównej opiekunki Przytuliska, — jeden z przytomnych, którzy ją spotykali z kwiatami, powiedział wiersz kończący się:

Kapłanko naszych bogów, naszej sztuki Wando.

---

obdarzony wyjątkową pamięcią, opowiadał sąsiadom swoim przeszło dziesięć tomów powieści, nowellów, anegdot i grubszych przygód. — Na tém tedy tle i w takiej formie rozsnuwa Berlioz swoje dialogi o sztuce, muzycy są rzecznikami jego pojęć i myśli, jak ongi perypatetycy bywali Platonowi. Pod łupiną humorystyczną każdy łatwo dostrzeże prawdy goryczą zaprawionej, a pełnej piękności świadczących o najdelikatniejszej organizacji artystycznej, pełnej polotu francuzkiego, ale i głębi na której nie zbywa; przyczyna, dla której myśli Berlioza zapuściły korzenie pierwej w Niemczech niż w jego ojczyźnie, i ztąd też jego operę Benvenuta Cellini nazwano w Niemczech drugim Fideljem.

Osoby dialogu:

Przewodnik orkestry.
Corsino, pierwszy skrzypek, kompozytor.
Siedler, przewodnik wtórych skrzypków.
Dimski, pierwszy kontr-basista.
Türüth, pierwszy flecista.
Kleiner starszy, cymbalista.
Kleiner młody, pierwszy czelista.
Derwinck, pierwsze oboë.
Winter, drugi basson.
Bacon alto (nie pochodzi od tego co proch wynalazł).
Moran, pierwszy róg.
Carlo, chłopak z orkestry.
Jegomość, nieodstępny w stallach parterowych.
Autor.

PIERWSZY WIECZÓR.

(Pierwsza opera.)

Nowella przeszłości.

1555.

Florencja, 27. Lipca 1555.

Alfonso della Viola do Benvenuta Cellini.

Jestem smutny, mój Benvenuto, jestem znużony, wszystko mi obmierzło! a raczej jestem chory, czuję jak niknę z dniem każdym, tak, jak ty chudłeś zanim pomściłeś śmierć Francesca! Ale tyś się prędko wyleczył „Ty!“ a dzień mego uzdrowienia czyż kiedy nadejdzie?! Pan Bóg to raczy wiedzieć! A jednak czyjaż boleść godniejszą jest współczucia... politowania!! Komuż z nieszczęśliwych Zbawiciel i Jego św. matka wymierzyliby słuszniejszą sprawiedliwość, zsełając mu to lekarstwo potężne, ten balsam drogocenny, najdroższy ze

a co znowu Deotyma krótką podziękowała improwizacją:

Jakimże cudem moje ideały
Dziś zmartwychwstały?

Życia w tem wszystkiem wiele, dowiódł go i ów obiad literacki dla Keniga i te wieczory Deotymy i obrazy i świecznika ofiara. — Budzi się, rusza, żyje co może pod żelazną dłonią. Dowodzi tego nawet Kurjer warszawski, który niby nie powiększając formatu, ze złożonego zrobił się arkuszowym. Mówią też o uzyskaniu pozwolenia na wydawanie pisma w rodzaju francuzkiego Figaro, o którem zamyśla p. Z. Sarnecki, ale... żartobliwe rzeczy idą tam tylko dobrze, gdzie swobodne mają pole....

W krakowskim **Kraju** przywiedziony jest ciekawy ustęp z Mickiewicza Księgi pielgrzymstwa, z tak wyrazistą przepowiednią upadku Francji i jej nieszczęść, jak znana Słowackiego. Obaj poeci nasi mieli wieszczego ducha, który w chwilach potęgi dozwolił im przewidzieć skutki bezduszności i demoralizacji.

Oprócz tego „Kraj“ mieści piękny opis Zima w górach, Szczęsnego Morawskiego i ciekawe Plotki i prawdy.

Wyszło w Krakowie zapowiedziane „Coś“, ale rozmyślnie nic nie powiemy o nim, aby zmusić do abonamentu... bo też Coś dowcipnem jest a tak tanie... że to prawie bajeczne.

Ze Lwowa, oprócz spodziewanego namiestnika, nic nowego nie dochodzi, spodziewany jest także burmistrz nowy. (W tej chwili dowiadujemy się o wyborze Dr. Ziemiałkowskiego i miastu go szczerze winszujemy.)

We Lwowie zapowiedziano kwartalnik (pp. Leopold Wajgel i Maryan Łomnicki), poświęcony naukom przyrodniczym, pod tytułem Przyrodnik. O potrzebie pisma podobnego mówić byłoby zbytecznem, lecz czy nie pewniejszym by był szerokiego koła czytelników, gdyby jak „Ergänzungsblätter“ objął znaczniejszy obszar wiedzy ludzkiej, rozszerzając tylko ramy dla nauk przyrodniczych. Pisma pojedyńcze im bardziej specjalne, tem żywot mają trudniejszy. — Pismo czysto naukowe na wzór „Ergänzungsblätter“ byłoby wielkiego pożytku.

Dziennik poznański w znaczniejszej części zajęty kwestjami bieżącemi, które mu nowy nadają charakter. Czynnie krzątają się tu około spółek pożyczkowych i zarobkowych, zlewają się towarzystwa (młodych przemysłowców i przemysłowe); ogłoszono konkurs (Poznań-Szamotuły) na dziełko o rolnictwie dla ludu. Naostatek zagaił „Dziennik“ bardzo ważną sprawę przemysłu i handlu polskiego, dowodząc że krajowcy polskich głównie fabrykantów, przemysłowców, polską pracę wspierać powinni. W obec ekonomicznych zasad powszechnie uznanych, taka wyłączność zdać by się mogła dziwną i nieusprawiedliwioną, wszakże u nas i w naszém wyjątkowém położeniu tłumaczy się ona, — jest koniecznością i obowiązkiem. Tam gdzie dla steroryzowania przemysłu polskiego aż do napadów i rabunków, bezkarnie się tłum uliczny ucieka, gdzie na wszystkich drogach stawione są przeszkody; prawo obrony łamie wszelkie inne. Broniąc życia, musiemy wspierać nasze rękodzieła, przemysł, handel, bodajby moralném zobowiązaniem abyśmy tylko u swoich kupowali i ze swemi do czynienia mieli. Gdzie stosunek dwóch stykających się narodowości jest tak nie z naszej winy, naprężony i nieprzyjazny, gdzie obcy nie oglądają się na żadne środki, a gwałt nawet jest im przebaczony i uchodzi płazem, — jawna rzecz... iż tam teorje gdzieindziej szanowane, — wymaganiom rzeczywistości ustąpić muszą. Myśl więc przez „Dziennik“ rzucona, gorąco powinna być podjętą i popieraną.

Tak samo wymierzone przeciwko narodowości i katolicyzmowi szkółki symultanne w Poznaniu, winni rodzice omijać, choćby z trudnością śląc dzieci tam, gdzie im wynarodowienie nie zagraża.

Wszystko to chłodno, z rozmysłem, wytrwale a choćby z ofiarą wykonać należy; ofiara to będzie, wiemy dla jak świętego celu.

— W cmentarnej kronice naszej znowu mamy do zapisania stratę jednej z tych rodzin, które zdają się od kilku pokoleń przeznaczone na męczeństwo. W Razaniu, na wygnaniu zmarła dnia 3. (15.) Marca ś. p. hr. Oktawija z Sołtanów Sołtanowa, żona hr. Władysława. Poniosła ona życie w ofierze świętym obowiązkom matki i żony. Do r. 1863 z powodu słabego zdrowia, przez lat cztery z porady lekarzów przebywała w południowej Europie. Powróciła do kraju, — a gdy Murawijew zesłał hr. Władysława w Sybir, razem z dziatwą poszła za nim. Dwa miesiące temu, dnia 25. Grudnia 1870 Pan Bóg jej wziął pięcioletnią córeczkę Tolę, — wkrótce po niej poszła matka. Rok cały ostatni nie wstawała już z łoża boleści, na które ją ostry klimat, nieustanna troska i męczarnie wygnania rzuciły. — Zgon jej osierocił nieszczęśliwego wygnańca i drobną dziatwę. — W tej zacnej rodzinie jest to już niewiem która ofiara, bo od czterech pokoleń żaden z Sołtanów nie był oszczędzony. Wywożono ich, skazywano, dręczono, zabrano wszystkie majętności. Poczęło się to jeszcze za Stanisława Augusta, a ciągnie do dni naszych. Ani jeden nie uszedł wygnania, zsyłki lub męczeństwa. — Pokój cieniom czcigodnéj niewiasty. Była ona wzorem poświęcenia, dobroci, łagodności i szlachetności.

Zmarli w Królestwie: Jan Bonar, były oficer wojsk polskich, d. 4. Marca, w Radomskiem, przeżywszy lat 68.

W Łukowie dnia 27. Marca Antoni Kurpiewski, były oficer wojsk polskich, mając wieku lat 85; w Warszawie dnia 26 Marca Ludwika z Dmuszewskich, (córka założyciela Kur. War.) 1. voto, Sauvan, potém Zabłocka, mając wieku lat 61. Słynęła ona z dobroczynności dla ubogich.

W Galicji Edward Hildebrand, radzca sądowy dnia 19. Marca w Kołomyj; we Lwowie Leon Biedkowski, ze

---

wszystkich! co do łagodzenia gorzkich boleści artysty sponiewieranego w swej sztuce i osobie: — zemstę!

Oh nie Benvenuto! nie zaprzeczając ci prawa zasztyletowania tego nędznego oficera, który ci zabił drogiego brata, nie mogę jednak między dotkliwością twojej a mojej obelgi nie czuć nieskończenie odległej różnicy. Cóż zresztą uczynił ten chłystek? Przelał krew syna twojej matki — to prawda! ale oficer był na nocnej patroli. Francesco był pod dobrą datą; — po obrażeniu straży, obrzuceniu jej kamieniami, posunął swe zuchwalstwo aż do chęci wydarcia żołnierzom ich broni, użyli jej też najprościej — i brat twój zginął.

Przyznaj że nic łatwiejszego do przewidzenia — i — nic słuszniejszego! Ale nie tędy poszły moje sprawy. — Jakkolwiek woleliby byli mnie zabić, na włos im w niczém nie zawiniłem, i to w chwili, kiedym zasłużył na nagrodę, otrzymałem zniewagę i obelgę. Wiesz dobrze, z jak mozolną wytrwałością pracuję od tylu lat nad wzrostem sił i pomnożeniem czynników muzyki. Ani zła wola starych peruk, ani naszczekiwania żaków ich szkoły, ani nieufność dyletantów, którzy mnie mają za dziwacznego człowieka, bliższego warjacji niż geniuszu, ani wszystkie zapory, jakie piętrzy nędza — nic! nic mnie nie mogło zatrzymać. Wiesz o tém. Mogę to wypowiedzieć tém bardziej, że w moich oczach w tém postępowaniu niema jeszcze żadnej zasługi.

Ten młody Montecho, zwany Romeo, którego przygody i śmierć tragiczna tyle hałasu sprawiły w Weronie przed parą laty, zaiste nie mógł się oprzeć wyrokowi Julinetty, córki swego śmiertelnego wroga. Namiętność jego większą była nad napaści ciurów Capuletowych, silniejszą od żelaza i trucizny, które mu nieustannie groziły. Julinetta — kochała go! i za godzinę z nią przebytą chętnieby śmierci spojrzał w oczy. — O przebóg! moja Julinetta — to muzyka! i na niebios błękit, jestem od niej kochany!...

Dwa lata temu — układałem plan utworu scenicznego, jakiego dotąd nie bywało, w którym, śpiew przy towarzyszeniu instrumentów, miał zastąpić mowę* i zrodzić przez swe połączenie z dramatycznością, wrażenie takiej potęgi jakiej nie wydała przenigdy poezja! Niestety, pomysł to kosztowny — i tylko panujący lub jaki żyd bogacz mógł go urzeczywistnić. — Wszyscy książęta Włoscy słyszeli o złym skutku tragedji muzykalnej, wydanej w Rzymie z końcem ostatniego wieku; fiasco Angela Politana w jego Orfeo, utworze tegoż rodzaju nie jest mi też obcém, i nic niewcześniejszego jak liczyć na którego z nich, w usiłowaniu, które tak nie dopisało staroświeckim mistrzom. Nanowo uczciliby mnie pychą albo bzikiem.

* Wynalezienie opery.

szkoły podchorążych, pierwszy instruktor piechoty, major wojsk polskich z r. 1831., dowódzca legji akademickiej lwowskiej w r. 1848, dnia 28. Marca. O pogrzebie jego **Dziennik polski** pisze:

„Przed mieszkaniem widać wprawdzie było liczne tłumy, ale gdy orszak pogrzebowy ruszył z miejsca, a osobliwie gdy wszedł na ulicę Piekarską, patrioci pogubili się po drodze. . . . Młodzieży akademickiej nie było widać. . . . . Z towarzyszy legii akademickiej, którą nieboszczyk dowodził we Lwowie 1848, było kilkunastu obecnych, a niektórzy przybyli nawet umyślnie z prowincji od pługa — kilku ciężko rannych z r. 1863 bez nóg i rąk pośpieszyło za trumną, na której świeciła szabla i kaszkiet gwardiacki, przytwierdzone podług życzenia zmarłego. Towarzystwo Orła Białego reprezentowane przez kilkunastu członków, tworzyło niejako straż honorową przy trumnie.“

Smutna to uwaga o akademickiej młodzieży — gdzież tego uczucia czci dla zasług szukać, jeśli go w piersiach młodych nie będzie??

Prezes Rady powiatowej rohatyńskiej Stanisław Malczewski zmarł d. 19. Marca w Cześnikach.

„Dziennik poznański“ mieści następny nekrolog młodego, wielkich nadziei Bolesława Warnki.

Dnia wczorajszego, 30. Marca, o godzinie 4. rano zakończył żywot doczesny ś. p. Bolesław Warnka, 22letni młodzieniec pełen nadziei, który w ciągu niedługiego pobytu w Poznaniu, gdzie osiadł jako agent kupiecki, umiał sobie pozyskać ogólną wszystkich znajomych przyjaźń i szacunek. Syn zacnej rodziny, łączył jej cnoty z sercem rzadkiej słodyczy i charakterem niepoślakowanym. Zdolności jego pozwalały mu rokować niemałe powodzenie w zawodzie, który obrał a któremu oddawał się z prawdziwem zamiłowaniem. Niestety, powaliła go przed kilku tygodniami ciężka choroba, której ani troskliwość rodziny i przyjaciół ani sztuka lekarska nie zdołały przezwyciężyć. Nikł w oczach tych, co go kochali, zachowując śród najdotkliwszych cierpień podziwienia godną cierpliwość, spokój umysłu i tę łagodność w obejściu, która tyle serc doń przywiązała. Skonał na rękach brata i sióstr, dniem poprzednio jeszcze nie dając najmniejszego znaku, by przypuszczał, że nić życia jego ma się zerwać tak prędko. Żal stroskanej rodziny podziela liczne grono przyjaciół, w których pamięci wspomnienie śp. Bolesława nigdy nie zagaśnie.

Mieści on także w odcinku rys życia zmarłego ks. biskupa Stefanowicza, który urodził się w r. 1801 d. 29. Kwietnia w Mosinie z rodziców Rocha i Zofij z Noskowiczów. Nauki odbywał w Poznaniu; później był nauczycielem domowym u referendarza Morawskiego w Luboni i u Sczanieckich. W r. 1824 wyświęcony na kapłana, pełnił przez lat kilka obowiązki wikarjusza w różnych miejscach. — W r. 1831 uzyskał od hr. Mycielskiej probostwo w Poniecu. W r. 1848 ks. Stefanowicz wybrany został posłem i dotrwał do końca na ciężkiem naówczas stanowisku. W r. 1852 mianowany kanonikiem i radzcą konsystorza, sprawował te obowiązki do r. 1858. W r. 1853 naznaczony sufraganem i biskupem Samozateńskim *in partibus*. Nekrolog podnosi zasługi obywatelskie i uczucie patrjotyczne zmarłego biskupa, dla których ofiar i trudów nie skąpił. W r. 1858 nie mógł przyjąć mandatu, chociaż powtórnie był wybrany posłem, a od r. 1863 zwątlony na zdrowiu, musiał się od prac narodowych usunąć.

Całe mienie swe czcigodny kapłan zapisał na kościoły i ubogich w Poznaniu, Mosinie i Poniecu. Jeden to był z tych duchownych, którzy umieli pogodzić obowiązki Polaka i katolika, obywatela i kapłana. — Cześć jego pamięci!

W Pempowie, w Poznańskiem dnia 11. zmarł ks. Franciszek Ksawery Płachciński, niegdy proboszcz w Jutrosinie, mając lat wieku 81, wielce od parafijan swych kochany. Zmarły 25 lat przeżył na probostwie w Jutrosinie.

Wycieczka do Krakowa.

(Dokończenie.)

Do ozdób wystawy należą akwarelle J. Kossaka — szczególniej jego Hetmańskie stado . . . aleć każda z nich przepyszna — krajobraz, niezrównane konie, mistrzowskie wykonanie, charakter jaki malarz nadać umie wszystkiemu czego tknie ze staropolskich rzeczy, przywiązują do jego kompozycji, mających namiętnych wielbicieli. Stara Polska rycersko-szlachecka odżywa w nich wskrzeszona siłą talentu, który dziś jest w całej swej potędze. — Zarysowany zaledwie nowy obraz — Stanisław Revera Potocki, któremu włościanin wyoraną przynosi buławę, wróżąc mu hetmańskie dostojeństwo — będzie bogatszym jeszcze od wszystkich tu wystawionych. Zjawi się on pewno rychło, bo Kossak pracuje szybko, gdy uczuje natchnienie. . . . Byłoby wiele do mówienia o pracowniach artystów w Krakowie, gdyby przedmiot ten obszerniej mógł się rozledz w pobieżném sprawozdaniu. Lecz niektórych z nich nie pospieszyliśmy obejrzeć, a tam gdzie nas gościnnie dopuszczono, wchodziliśmy nie jako sprawozdawca, lecz jako ciekawy i wdzięczny wędrowiec. — Byłoby nadużyciem kraść z nich wrażenia i dzielić się niemi z szérszem kołem czytelników. . . . Dodać tylko trzeba, że Kraków jeden i Warszawa mają rozbudzone poczucie artystyczne, że tu sztuka zajmuje, prawie roznamiętnia i że Stowarzyszenie, jeźli się nie mylemy, liczy do 3,000 akcijonarjuszów, gdy Warszawskie ma ich 1600.

Ten na pozór uśpiony i chłodny Kraków, ze swémi 40,000 mieszkańców, z których połowa przynajmniej do intelligencji policzyć się nie daje, zajmuje się daleko żywiej sztuką, literaturą, teatrem, niżeli Lwów i Poznań. Tu jest stara tradycyja wyższego wykształcenia i smaku, a choćby smak nie zawsze był trafny, łatwiej wybaczyć zboczenia, niż zupełny brak jego. — Trafiliśmy właśnie na cztery pierwsze przedstawienia premijowanych komedij: Epidemji Narzymskiego i Próż-

---

Co do żydów, nie myślałem o tém i chwili — wszystko com na nich mógł zyskać — to odmowa, na samą wzmiankę mego pomysłu, bez szyderstwa i urągowiska dworskiej gawiedzi. Złożyłem więc broń, jak czujesz, nie bez wielkiej boleści — i z ściśniętém sercem wróciłem do cichych robót, którémi na życie zarabiam, a które w odległej przyszłości przynoszą chwałę i bogactwo innym, krwawym kosztem swoich twórców. Inna myśl zaniepokoiła mnie równocześnie. — Nie śmiej się z moich odkryć a zwłaszcza nie porównywaj mojej sztuki, będącej w pączku, z twoją już rozwiniętą i udoskonaloną. Znasz dość muzyki, byś mnie rozumiał. Powiedz mi, wierzyszli dobrodusznie że nasze ślimacze madrygały o czterech stopach są ostatecznym stopniem jakiego dosięgnąć może kompozycja? Czyż sam rozsądek pod względem wyrazu jak i kształtu nie wskazuje, że te utwory tyle sławione są dziecińnstwem i bzdurstwem? Słowo wyraża miłość, gniew, zazdrość, męztwo — śpiew zaś opiewa ciągle jednako jak psalmowanie żebrzących mnichów! Toż ma być wszystkiem, co może zdziałać melodja, harmonja, rytm?! Czyż jeszcze nie śpią w nas zarody milijona form nietkniętych? Czyż rozbiór spokojny tego co jest, nie świadczy o tém co będzie i co być powinno? A z instrumentów czy kto skorzystał? Czemże jest mizerne nasze towarzyszenie, prześladujące śpiew nieustanném unisono, lub w jego rodzonej oktawie!? Czyż muzyka instrumentalna jako taka istnieje dzisiaj? A w użyciu wokalnej ileż przesądów, co za przerutynowanie! Dla czegóż wiecznie mają śpiewać cztery głosy, tam, gdzie jedna tyko osobliwość śpiewająca żali się na swe osamotnienie? Czyż podobna wynaleźć grubszą płaskość nad owe canzonetty od niedawna w trajedjach figurujące? gdzie jeden aktor śpiewający niemniej ma dodane sobie równoczesne towarzyszenie trzech innych samoczwórnych głosów, wtórujących mu jak się da i uda! Bądź pewien Benvenuto, temu co dzisiejsi koryfeusze nasi, pijani własną chwałą szczytem muzyki zowią, tak daleko do tego, co za dwa lub trzy wieki muzyką zwać będą, jak potworkom dwunożnym z błota przez dzieci uklejonym do twego boskiego Perseusza lub Mojżesza Buonarottego. Jest więc bez liku poprawek do wprowadzenia w sztuce tak zacofanej — i nieokreślone są granice jej postępu. I czemuż nie zdobyłbym się na torowanie im drogi? Ale niezajmując cię tym ostatnim pomysłem, powiem ci tylko że nie wymagał nadzwyczajnych środków i mógł być uskutecznionym bez pomocy wielkich i możnych. Czasu mi tylko potrzeba było — a dzieło raz dojrzałe, znalazłoby sposobność dla siebie, mianowicie w dzień uroczystości, na które zgromadzić się miało do Florencji wszystko, cokolwiek świetnego i wykształconego posiadają Włochy i cała Europa. — Oto masz powód okropnego, czarnego jak noc stanu duszy, który od dwu dni toczy me zbolałe serce!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

niaków Bałuckiego. Na wszystkich było tak pełno, a cały świat tak się niemi zajmował, iż z prawdziwą pociechą symptom ten życia oglądaliśmy. Chwili naszej chorobą właśnie jest obojętność na wszystko, chłód i przedwczesne wyżycie młodych i starych. Gdzie życie jest, przychodzi reszta siłą jego zdobyta — gdzie śmierć tam już żadnej nadziei . . . chyba w pokoleniach nowych.

Łatwo pojmie czytelnik, iż w opisie wycieczki ani chcemy, ani możemy mówić o sobie, nie jest to w obyczaju naszym, a na teraz byłoby zupełnie nieprzyzwoitém. Czujemy się tylko w obowiązku jeszcze raz wielkiej większości mieszkańców Krakowa z duszy i serca podziękować za braterską gościnę. Niema bo jak serca polskie, i nam Magdalenie narodów, wiele przebaczoném będzie, bośmy kochali wiele. — Dowodów tej miłości odebraliśmy nad zasługę, a jeden anonym i jeden czy dwa ugryzki nieprzyjaznego dziennika, sowicie nam zapłacone zostały dowodami współczucia. Korzystając z podróży, na którą redaktor dziennika i właściciel drukarni rzadko czas mieć może, zapragnęliśmy poświęcić choć kilka godzin studjom w bibliotece Jagiellońskiej, do pracy od lat dwudziestu poczętej, nad historją obczajów w dawnej Polsce. Nie potrzebujemy mówić, że i tu ochotną, uprzejmą znaleźliśmy pomoc, ale przed nami było — prawdziwe morze do wypicia!! Tyle a tyle rzeczy nieznanych, a czasu taka odrobina. Kto rozumie jaka się namiętność przywięzuje do studjów tego rodzaju, — pojmie męczarnie Tantala, który patrzy na skarby — nawet pobieżnie ich przejrzeć nie mogąc. . . Pięć tysięcy rękopismów. . . w których są pewnie skarby, tyle rzadkości, osobliwości tyle zapomnianych, czekających, by je powołano do życia nowego! Biblioteka Jagiellońska odnowiona wygląda już dziś bardzo wdzięcznie, chociaż wiele jej do wykończenia braknie. Gmach poważny . . . a taż cela św. Jana Kantego u wnijścia ze swą lampą gorejącą . . . nie jestże przemawiającym zabytkiem dawnych wieków!!! kto znał dawne, a widzi dzisiejsze Kollegium Jagiellońskie — z trudnością dziś rozpoznać się w niem może.

Należy być sprawiedliwym względem wszystkich, nawet względem tych rządów, ktore narodowości naszej bolesne zadały ciosy. Rząd austryjacki w ostatnich czasach okazał się troskliwym o byt i podźwignięcie Jagiellońskiego uniwersytetu, o Towarzystwo naukowe, o muzea, o katedry, o to prastare ognisko światła . . . które już za czasów Zygmunta Augusta, wedle zeznania Szymona Maryckiego z Pilzna, kłoniło się ku upadkowi. — Rozszarpane i zmarnotrawione fundusze, nie dozwoliły by do dawnej przywrócić je świetności, gdyby nowémi pomnożone nie zostały. Bez wątpienia pośrednikom między Wiedniem a uniwersytetem, rektorom jego, dziekanom, prezesowi Towarzystwa zawdzięcza Akademija odrodzenie swe, lecz dobrej woli ku temu nie brakło — to przyznać należy. Dziś tylko życzyć należy, aby ta młodzież, do której tak wymownémi słowy przemawiał niedawno dostojny rektor Dr. Kremer, zrzuciła z siebie obojętność, ostygnięcie i choćby z trochą gorączki i namiętności nawet, rzuciła się do nauki. Jedyny uniwersytet polski, winien by skupiać w sobie życie potężne naukowe, a lękamy się wielce, że tu go nawet tyle niema dotąd, ile zapamiętać możemy w Wilnie, Kijowie i Warszawie. — Dla Galicji oświata i wyższe wykształcenie, przy tej swobodzie, jaką już jest obdarzona, to zadanie życia. . . Uczyć się, uczyć, uczyć więcej jeszcze niż za czasów Krasickiego, musiemy, bo w świetle nasz byt. — Tracąc wykształcenie, straciemy dawne narodowości stanowisko. Jakkolwiek nam czcigodny Dr. Machalski zarzucał pessymizm zbytni w zapatrywaniu się na Galicję i Kraków, sądziemy iż nam za złe nie poczyta tego, co z serca płynie. Czujemy się obywatelem Krakowa, który nam dał przytułek, gdyśmy innego nie mieli, i z praw obywatelstwa bierzemy tylko jedno — mówienie serdecznej prawdy współbraciom. W samym Krakowie spotykaliśmy się między samą młodzieżą z utyskiwaniem na brak życia i gorącości do nauk. Temu brakowi inicjatywa samych profesorów, ich przykład, zachęta, komunija ich ducha zaradzić tylko może. Młodzież czuje się osamotnioną, ostyga, będąc zostawiona sama sobie, — starszych rzeczą podać jej rękę, zachętę, bodziec do pracy, wlać w nią ogień święty. . . Ta sama martwość, jaką wyrzucają Jagiellońskiej macierzy (nie my, ale ci co się z nią codziennie spotykają), daje się czuć w handlu księgarskim, w wydawnictwie, w żywocie literackim miasta, które ma wszelkie warunki do zogniskowania w sobie sił wszystkich, — a mimo to — woli i popędu mu braknie. Dziennikarstwo utrzymuje się też ofiarami pracy i grosza, kraj go nie popiera. Nie jest tajemnicą ile tutejsze dzienniki odbijają egzemplarzy, i ile mają abonentów, wstydziemy się wszakże liczbę tę wypisywać, w nadziei, że ona się zwiększyć musi. — Szczęściem może dla Krakowa trochę życia wlewa weń ta walka dwóch obozów, które przedstawiają „Kraj“ i „Czas“. — Radzibyśmy o niej nie wspominać, bośmy sami wmięszani do niej czynnie, i nie kryjemy sympatij naszych, a zatém złémi sędziami jesteśmy w sprawie własnej. — Jakże nie tknąć tego boju, który jest walką polskich tradycyj z kosmopolityzmem przebranym w rewerendę? Z jednej strony obskurantyzm, wynarodowienie, niewola ducha i sumienia, z drugiej prawa człowiekowi najdroższe, spuścizna przeszłości — swoboda umysłu i sumień. . . . Że w gorącej walce zły przykład, gwałtowności i namiętności dali i dają ci, co się ekstra-katolikami być mienią — fakta świadczą. Nie zawsze dobra wiara im służyła za przewodniczkę, nie zawsze godziwych środków używali . . . nie dziw też, iż nieraz w przeciwnikach wywołali namiętność. . . . Lecz im prawda jawniej teraz zwycięża, tém umiarkowańsi, chłodniejsi stać możemy w jej obronie.

Lecz dosyć — mamy jeszcze, przy najszczerszej chęci zawarcia tych wrażeń z podróży w jak najskromniejszych ramach — wiele do powiedzenia o tylu a tylu rzeczach!!! Należałoby wrócić do Technicznego muzeum i jego wykładów, zajść jeszcze na wystawę, choć słówko rzec o stowarzyszeniu „Postęp,“ które tak miłe czyni wrażenie swą skromną dla przyszłości pracą; potrzeba by opowiedzieć wam jak wygląda stara kamienica Kremera, w której murach urodziły się „Listy z Krakówa,“ pozdrowić starego piewcę „Pieśni Janusza“ i „Hetmańskiego pacholęcia“ Wincentego Pola — zajrzeć do Muzeów Akademji i Towarzystwa, zdać spawę z posiedzenia, któremu mieliśmy przyjemność przysłuchiwać się . . . słowem . . . tom by się z tego nazbierał . . . i nie zawarł by wszystkiego. — Pamiątki . . . zabytki, zbiory, ludzie, przedsięwzięte prace . . . naostatek fizijognomija starej stolicy . . . domagają się wspomnienia, a artykuł domaga się zakończenia, i w umyśle rodzą się wątpliwości, czy tamto można, czy to się godzi, czy inne wypada, czy coś przyzwoicie jest malować bez upoważnienia?? Heroiczném cięciem najlepiej pono resztę oderwać i złożyć do teki. . . . Bezpieczniej to niż z osobistych wrażeń się spowiadać . . . choćby były najmilsze . . . a takiemi właśnie są dla nas wspomnienia pobytu tego w Krakowie. — W ostatnim dniu zapowiedziany był odczyt hr. Tarnowskiego z muzyką . . . więc o tym jeszcze słowo należy powiedzieć. — Prof. Tarnowski czytać miał w sali hotelu Saskiego o Chopinie. — Zapowiedziana illustracja muzykalna ks. Marcelliny Czartoryskiej, nowość tego rodzaju prelekcij, imie Chopina, niemniej jak prelegenta zwabiły zawcześnie bardzo licznych słuchaczów. Sala i galerije były przepełnione. Odczyt przeplatany odegraniem kilku utworów mistrza, nokturnu, dwóch mazurów, dwóch preludijów, poloneza, marsza żałobnego, trwał przeszło dwie godziny i pewno nie znużył zaciekawionych słuchaczów. Hr. Tarnowski przedstawił zarys życia duchowego i artystycznego Chopina, posługując się szczupłą garstką znanych materjałów i notat jego, niewydanych. — Wizerunek ten nie był pełny, wycieniowany starannie, miejscami wykończony do zbytku, szerszych rysów, konturnu stanowczego, nie miał. Były to strony i chwile, momenta Chopina, ale nie cały Chopin jeszcze. — Artystyczna jego genealogija, muzykalne wykształcenie, stosunek do muzyki przeszłej i teraźniejszej zostały nietknięte; psychiczna strona obrazu nie zadowolniała, będąc raczej zapisaniem fenomenów oderwanych, niż ich wyjaśnieniem. Dotknął autor pobieżnie bardzo pokrewieństwa postaci Chopina z Mickiewiczem, Krasińskim, Słowackim, ale nie odmalował epoki, chwili, wpływów, które tych ludzi zrodziły. Wdzięczny a smętny, a zbiedzony Chopin, stał w odczycie odosobniony, niezrozumiały jak Sfinks na pustyni, — niby pozostałość jakiegoś świata, obróconego w gruzy, o którym słuchaczom nic nie powiedziano. O zasłudze też muzy-

kalnej Chopina, o stanowisku jakie zajął, powiedziano za za mało, dowiedzieliśmy się zaledwie, że wielbił Mozarta i że Schumann uznał w nim mistrza, że Field dał mu pierwowzór nokturnu, a Hummel nauczył go harmonij (???). — Gdyby nic więcej nie opuszczono nad potężny wpływ jaki Bach wywarł na formę Chopina, — już by to jedno dowodziło, że strona muzykalna obcą była prelegentowi. Każdemu z muzyków powieści tej za mało było, nie starczyła dziejopisowi sztuki, ani badaczowi charakteru epoki, lecz dla słuchaczów różnych usposobień, wymagań, ukształcenia, szukających chwili miłej rozrywki — z pewnością odczyt starczył i zadowolnić ich musiał. — Po raz to pierwszy słyszeliśmy hr. Tarnowskiego, którego odczyty z katedry liczną bardzo ściągają publiczność. — Styl i dykcija są z sobą w harmonji zupełnej i można je nazwać — *très distingués* ze wszech miar. Rzadko prelegent podnosi się do myśli śmielszej i silniejszego wyrazu, zawsze utrzymać umie w tonie wykwintnym, miłym, w stylu wykończonym i ogładzonym z widoczną troskliwością. — Brak ognia, oryginalności, siły, nie wdzięku . . . mowca widocznie hamuje się, stoi na straży, czuwa, aby mu się goretszy wyraz i barwa jaskrawsza nie wyrwała. . . . Nie godzi się sądzić o talencie z jednej prelekcji, przypomniała nam ona wszakże malowanie na saskiej porcelanie lub elegancką akwarelkę francuzką. . . . Spowiadamy się z wrażenia, nie śmielibyśmy wyrokować cale — na to trzeba czegoś więcej nad jeden odczyt i to jeszcze tego rodzaju, w którym prelegent dobrowolnie może do głębi sięgać nie chciał, a przeto płytkim być musiał. . . . Z drugiej strony zamilczeć o tym odczycie byłoby opuszczeniem, które niechęć mogłaby nam za umyślne zapomnienie poczytać, — powiedzieliśmy więc — cośmy czuli tylko. . . . . . Dziesięć dni? gdzież się one podziały? oto — znowu wagon czeka, para poświstuje szydersko, ściskamy dłonie przyjazne — Do widzenia! — któż wie, ażali się zobaczym. . . . Wiosenne słońce przyświeca nad śliczną okolicą Krakowa . . . pociąg leci . . . we mgle stoją wieże, szczyty, Wawel-król, P. Marja . . . Kopiec Kościuszki w żelaznym pierścieniu . . . Łobzów. . . . Powoli maleją i ścierają się zarysy i zakrywają je wzgórza . . . oto już Zabierzowskie skały, a tam ów pamiętny Tęczyn i owa góra, którą opiewał Kochanowski . . . wdowa dziś po sławie swej i wielkości. . . . Bądź mi zdrów grodzie kochany, grodzie serdeczny, ludzie i dłonie życzliwe, piersi miłości pełne . . . polska prawdziwie stolico, w której jeszcze uchowało się wszystko nasze, nawet to, co by sobie było mogło umrzeć bez żalu, a co obrazowi dodaje barwy. . . . Co z tobą uczynią losy, przyszłość . . . nieprzyjaciele . . . twe własne dzieci . . . pomyśleć serce się ściska, oko zabiega łzą. . . . Zostań jakim jesteś . . . może tu kiedy spocząć dozwoli dola . . . i przemarzyć dni ostatnie o tej Polsce, której ty byłeś i będziesz najdroższym klejnotem . . . Kocha się matkę choć w sukni starej i od nędzy wychudłą, a kocha się ją może tém goręcej im więcej cierpiała. . . . Kraków stary zniknął . . . czarny las sosnowy go zasłania. . . .

J. I. Kraszewski.

Korrespondencye.

St. Petersburg, 17/29. Marca.

Korzystając ze zręczności pewnego przesłania listu, śpieszę Wam donieść o wypadku nadzwyczajnym, który tu od trzech tygodni wzbudza najwyższe zainteresowanie się wszystkich, a który zaledwo przed kilku dniami dokładnie został wyjaśniony, tak, że nawet dzienniki niektóre pomimo woli nie mogły go ukryć, podając niektóre przynajmniej główne szczegóły.

Powiem Wam szczerze, że podając fakta z życia naszego, klątwy, które dzienniki polskie po za krańcami Rosij rzucają na tych lub owych, nie zawsze mają gruntowną podstawę, nie zawsze bywają uzasadnione, a nieraz, może pomimo woli, i z prawdą się rozmijają. Nie zawsze wiedzieć możecie o bodźcach do działania, a nie możecie nawet zgłębić jak wielki jest tu wpływ patrjotów niemieckich, działających w imię własnych idei, nawet w kwestjach katolickich.

Pozwólcie więc, że, nim opiszę wypadek, który dziś obiega tutejszą stolicę, dotknę wprzód, choć w kilku słowach, ogólnego stanu co do kwestij katolickiej w Rosij.

Wyobraźnia ludzka nie może zdaje się utworzyć obrazu okropniejszego, jaki nam przedstawiają dwuletnie rządy Murawjewa na Litwie. — Zniszczenie ogólne kraju, wyniszczenie ostateczne szlachty, palenie wsi i dworów szlacheckich, wysyłanie na Sybir tysięcy ludzi często najniewinniejszych, w końcu niepraktykowana w XIX. stuleciu mnogość kary śmierci — to jest zanadto ogólnikowy obrazek działalności Murawjewa. Miał on swój cel głęboko obmyślany. Mówią, że jakoby dyktator Litwy, Kalinowski, znany socjalista, kiedy już mu wyrok na powieszenie odczytano, miał wskazać Murawjewowi programm, którego ma się trzymać — „zniszczyć do szczętu szlachtę, a podnieść lud.“ Czy tak było w istocie, zaręczyć trudno, chociaż wiadomo dobrze, że Kalinowski nienawidził szlachtę.* — Bądź co bądź, czy z własnego natchnienia, czy też w skutek tego programmatu, Murawjew jednak dokładnie spełnił wolę Kalinowskiego. Szlachta zniszczona, lud podniesiony. Lud nabrał pewnej powagi i znaczenia, spozierał z góry na szlachcica, nie raczył często nawet skinąć głową przy spotkaniu się z dawnym właścicielem, a był też wierny rządowi. — Wiele by można przytoczyć dowodów prawdziwości zapatrywania się naszego na te chwile bolesne, a dotąd nietknięte prawie i niepodane bezstronnie. Pytanie, czy Murawjew mógłby mieć taki wpływ na lud, gdyby się tknął religij? — Właśnie, że nie. — Murawjew wieszał księży, zamykał klasztory — a l e n i e n a w r a c a ł. Bieliński, marszałek Trocki, z własnych pobudek, przez podłość, chcąc wziąść górę nad naczelnikiem wojennym Paniutinem, protegowanym przez brata swojego, gubernatora, przyjmuje prawosławie, a pełen nadziei łask i honorów — staje przed Murawjewem. Jakoż ten go czule wita, dziękuje za *usierdje*, ale skoro nowonawrócony odszedł, mówi do otaczających: „O t o p o d l e c! zdradził swoją wiarę, zdradzi i nas.“ — Murawjew nie pozwalał szerzenia się propagandy dla nawracania, a nawet nieraz przemawiał publicznie do włościan, że nie myśli prześladować religję, że powinni być przywiązani do kościoła, ulegli księżom, dopóki ci ostatni nie namawiają ich do powstania.

Działalność Murawjewa pod tym względem zniszczoną została przez następcę jego von Kaufmanna, Niemca prawosławnego. Przy nim to rozpoczęto inkwizycyjne nawracania, on nie myśląc o tém, potrafił doprowadzić do zgody lud ze szlachtą, i wyrobił u ludu najstraszniejszą nienawiść do rządu.

W tym samym czasie, tu, w Petersburgu, nad przygnębieniem kościoła na wielką skalę rozpoczął działalność drugi Niemiec, hrabia Siwers, dyrektor departamentu wyznań obcych (nieprawosławnych). A mimo walki, którą musiał staczać z Wałujewem i następcą jego Timaszewem, ministrami spraw wewnętrznych, którzy bynajmniej nie odznaczali się nienawiścią ku katolicyzmowi, potrafił jednak, wspierany w sferach wyższych rządowych, wynaleźć środki do zgnębienia kościoła przez najrozmaitsze prześladowania i do spodlenia władz dyecezalnych. Rezultata wiadome: wszelkie stosunki z Rzymem zerwane; na całej przestrzeni Rosij niema już dziś ani jednego dyecezalnego biskupa;** od roku 1863. ani jeden kleryk nie wyświęcony na księdza; godniejsi i zacniejsi kapłani, szczególnie z proboszczów i dziekanów — usunięci, powysyłani albo zamknięci po klasztorach, jak naprz. w Wilnie, u Karmelitów, przy kościele Wszystkich Świętych, gdzie dla mnogości osadzonych księży, po kilku zamykają w jednej maluczkiej celi; na miejsce zaś wydalonych najczęściej naznaczani bywają pijacy i rozpustnicy, którzy zgadzają się na wprowadzenie rytuału, kazań, suplikacij i t. d. w języku rosyjskim.

Otóż hrabia Siwers szukając pewnego oparcia się w reformach, jakie zamierzał przedsięwziąść na daleko szerszą jeszcze skalę, potrzebował doradzcy, dobrze oznajomionego z głównémi zasadami katolicyzmu i biegłego w teologij. Udał się tedy po radę do pewnego słynnego teologa, a zarazem przeciwnika władzy świeckiej papieża, a ten mu wskazał Aloizego Pichlera,*** jezuitę z Monachjum, autora uczonego dzieła,

* Z pewnością wiadomo, że przy dziełach komissij śledczej była własnoręczna kartka Kalinowskiego, pisana do szlachty jednego z powiatów, gdzie nie chciano wydać pieniądze uzbierane na rzecz powstania, w następujących wyrazach: „Barany wy, jeżeli nie chcecie gdybym was strzygł tylko, to was każę wyrznąć.“

** W Petersburgu — Staniewski, sufragan; w Saratowie — Lipski, też sufragan. Wilenski biskup Krasiński — w Wiatce; Żmudzki Wołonczewski — w Nitawie; Łucki Borowski — podobno w Permie. Pozostał na Żmudzi tylko jeden Bereśniewicz, sufragan.

*** Aloizy Pichler, jest autorem dzieła „Theologie des Leibnitz“ i historij rozdziału kościołów wschodniego od zachodniego. — Dzienniki niemieckie donoszą, że już wypędzono go za granicę, dokładając, że wykradał dzieła podobno przez biblijomaniję. Na nieszczęście powyskrobywał w nich stemple bibljoteki. W jednym dzienniku czytamy: „Dass die Angelegenheit einfach niedergeschlagen ist, mochte seinen guten Grund

mianowicie historij kościoła greckiego, zaniesionej z rozkazu Ojca Św. do *Index librorum prohibitorum*, oraz wielu innych rozpraw potępiających nieomylność Papieża. Pichler miał wtedy zaledwo 35 lat wieku, a jednak już słynął jako głęboko uczony i biegły teolog. Zgodził się on chętnie skoro otrzymał zaproszenie Siwersa wraz z 2,000 rubli na podróż i wiosną 1869. roku stanął w Petersburgu. Przyjęto go z wielkiémi honorami. Ks. Stecewicz, dominikanin, rektor akademij duchownej, uczcił przybyłego teologa świetnym obiadem, na którym, oprócz duchownych, był i hr. Siwers oraz kilku innych dygnitarzy. — Pichler zaraz otrzymał posadę przy departamencie obcych wyznań z pensją 3,000 rubli, a wkrótce potem został starszym bibljotekarzem publicznej cesarskiej bibljoteki i naczelnikiem oddziału teologicznego, składającego się przeszło ze 100,000 tomów.

Jaka była działalność Pichlera przy Siwersie — to tajemnica; najprawdopodobniej pracowali razem z panem hrabią, a może i ze Stecewiczem nad jakimś szerokim a głębokim projektem ogólnej reformy. Wiadomo tylko, że w czasie soboru, kosztem rządu (wydano mu na ten cel 2,500 rsr.) jeździł do Rzymu, gdzie mając rozległe stosunki, łatwo mógł wiedzieć o wszystkiém, co się dzieje na posiedzeniach soboru, a postrzeżenia swoje ogłaszał w „Gazecie augsburgskiej.“

Po powrocie z Rzymu bardzo gorliwie zaczął uczęszczać do bibljoteki. Chciał poznać dokładnie nietylko swój oddział, ale i inne, a szczególnie rzadkości bibljograficzne, inkunabuły i t. d. — Dyrektor bibljoteki, towarzysz ministra oświecenia, Delanow, bardzo go poważał, — a więc i wszyscy urzędnicy zakładu, szczególnie Niemcy byli ze czcią i nawet nadskakujący. Pichler był znakomitością, był oraz człowiekiem poświęcenia w imię idei, prześladowanym przez Ojca Św.; — w końcu przybył tu, ażeby zrestaurować katolicyzm — jakże nie miał być powołany i uwielbiany.

Dziwném się jednak wydawała szczególna gorliwość służbowa księdza Jezuity. Przychodził on do bibljoteki prawie zawsze pierwszy, wracał ostatni. Bywał nawet w dni świąteczne, kiedy najczęściej nikogo z bibljotekarzy nie było. Chodził zawsze w sukni jezuickiej, mając na niej kapotę długą i szeroką, której jak również kaloszów guttaperchowych nigdy nie zdejmował. W takim stroju jak cień przesuwał się po wszystkich piętrach i galerjach. Mimowoli wzbudzały te niezwyczajności ciekawość — ale przypisywano to dziwactwu uczonego, oryginalności — bo któżby miał go posądzać o jakie złe zamiary.

Jednakże jeszcze pod koniec roku 1869. zaczęto postrzegać znikanie dzieł wielu nader ważnych, bogatych wydań lub rzadkich. W roku 1870. kradzież znacznie się zwiększyła. — Bibljotekarze i sam dyrektor grozą przejęci byli i nie wiedzieli co robić, co przedsięwziąść! Odbywały się sesje, narady, do których i Pichler należał, z zadziwieniem i pewnym rodzajem pogardy mówiąc: „Takie rzeczy tylko w Rosij dziać się mogą!“ Odźwiernym i służącym zalecono baczność największą, a mimo to wszystko książki ginęły, znikały nawet kilkodziesięciotomowe dzieła.

Zdarzyło się, że pewnego razu, kiedy ks. Pichler wychodził z bibljoteki, pękła mu kieszeń w kapocie i z niej wyleciało kilka książek. Służący pośpieszyli je podnieść, a ks. Pichler kazał zanieść na górę. — Było to niby skazówką czegoś, zapytywano go nawet grzecznie, w jakim celu wynosił książki? — ale ks. Pichler oburzył się na takie zapytania i z wielką godnością odpowiedział, że i w Monachjum i wszędzie on zawsze zabierał z sobą dzieła, które mu do prac naukowych były potrzebne. — Cóż naturalniejszego nad takie tłumaczenie się, i jakież ztąd mogły wyniknąć wnioski?

Wszakże liczba niechętnych ks. Jezuicie w bibljotece wzrastała. Wzrastała też olbrzymio liczba dzieł, które ginęły. — Nieprzychylni nie spuszczali z oka ks. Pichlera. Zauważano na prz., że kapota jego przybiera jakieś dziwne kształty skoro on wychodzi z bibljoteki, i przeciwnie jest w stanie normalnym, skoro doń wraca, co też zdarzało się po razy kilka w ciągu dnia. Jeden ze starszych bibljotekarzy, Sobolszczykow, który najwięcej badał i śledził, przyszedł wreszcie do najgłębszego przekonania, że złodziejem jest nie kto inny, tylko ks. Pichler. Zwierzył się z tém dyrektorowi Dalanow, ale ten oburzył się na samą myśl obrażać podobném podejrzeniem tak znakomitego uczonego; — w końcu zezwolił, ażeby ostrożnie przekonano się, jak dalece podejrzenia są uzasadnione.

Sobolszczykow tedy obmyślił plan działania. — Dnia 3/15. Marca, przy wyjściu Pichlera z bibljoteki, szwajcar, pod pozorem, że plecy ks. Pichlera czemś zabrudzone, zaczął oczyszczać, a za dotknięciem się omacał najwyraźniej księgę na plecach. Za danėm hasłem wpadł Sobolszczykow z urzędnikami, zaprowadzono Jezuitę do biura, a po rewizji znaleziono na plecach duży tom in folio dzieła św. Ambrożego, nadto w kieszeniach kilka książek mniejszych ale rzadkich wydań. Udano się następnie do mieszkania Jezuity i tu zażądano urzędowej przez policję rewizij. W tém Pichler niespodzianie, bez czapki nawet i ciepłego ubrania — znikł. W mieszkaniu wszakże pozostała młoda Niemka, tytułująca się synowicą ks. Jezuity. Ta długo się wzdragała, a w końcu zmuszoną była wydobyć klucze od osobnych pokojów, przepełnionych skradzionémi książkami. Zliczono w ogóle 4560 tomów. Większa część była już zapakowana dla odesłania na kolej. Na każdej książce herby bibljoteczne pewyrzynane, natomiast na każdej napis „Bibliotheca Pichleriana.“

Niemeczkę aresztowano, mieszkanie opieczętowano, a Pichler wpadł był jak do wody. Sądzono, że odebrał sobie życie. Telegrafowano jednak, ażeby go zatrzymać, jeźliby uciekał za granicę, przesłano nawet fotografije jego, znalezione u Niemeczki. Tymczasem w nocy ks. Pichler wraca do domu, natychmiast przez stróżów schwytany.

W chwilach kiedy był uwielbiany i podziwiany, proponowano mu, azaliby nie przyjął prawosławia dla dobra Rosij?

— Nie, — odpowiedział z dumą — ja nie potrzebuję nowego wyznania, bo też nie jestem ani katolikiem, ani protestantem, ale tylko prawdziwym chrześcijaninem, jakimi byli pierwsi chrześcijanie po Chrystusie. — A więc podziwiano zacność i moc duszy znakomitego męża.

Dziś ten prawdziwy chrześcijanin uwięziony, zalewa się łzami, dowodząc, że to tylko m a n j a, choroba już taka doprowadziła go do kradzieży, a w końcu dodał, jakże uczony może być bez książek?

W czasie indygacyj w bibljotece przeniesiono koło niego paki ze skradzionémi książkami. Na ten widok mocno wzruszony zawołał: „Liczę na sprawiedliwość rządu, że mi przecie zechce zwrócić pieniądze zapłacone za te paki po 60 kop. za każdą, bo te nabyłem kosztem własnym.“

Jak też postąpi hrabia Siwers? — Czy zechce go bronić? — Pichler, chociaż złodziej, przecież zawsze współziomek Siwersa.

Wróćmy jeszcze do hrabiego Siwersa. — Nie wiem, czy była u Was podaną dokładna wiadomość o losach rytuału katolickiego. Mogę Wam podać prawdziwe fakta i to nie wszystkie znane.

Rytuał, złoty ołtarzyk, katechizm i t. d. tłumaczyli na język rosyjski ex-księża, dziś przekrzty, Pietkiewicz, niegdyś proboszcz na Żmudzi i Kozłowski, były proboszcz w Grodzieńskiém. Pietkiewicz został popem i dziś jest przy soborze św. Mikołaja w Wilnie (dawny kościół św. Kazimierza); Kozłowski — kolleżskji registrator. Na karcie w mowie tytułowej wytłoczono, że Złoty Ołtarzyk tłumaczył jakoby prałat Niemeksza, a rytuał prałat Herburt, ów tłumacz aktów kapituły Wileńskiej, człowiek niepośledniej zasługi, dziś starzec 85-letni, zniedołężniały zupełnie i mimowolne narzędzie hr. Siwersa, który potrafił go oplątać w czasie odwiedzin swoich Wilna. — Rytuał i Ołtarzyk złożone były rządcy dyecezij prałatowi Żylińskiemu, dla aprobaty duchownej. Prałat Żyliński zgodził się na aprobatę Ołtarzyka, wychodząc z zadania, że modlić się wolno w każdym języku, zaś co do rytuału, odpowiedział, że niema najmniejszej sankcij do uchwalenia książki, która zawiera dogmata kościoła. Na tej osnowie kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy Ołtarzyka puszczono w obieg, w rytuale zaś, przedrukowano pierwszą kartę i ks. Herburt figuruje dziś już nie jako tłumacz, ale jako cenzor duchowny; dodano wszakże, że książka przejrzaną została przez rząd dyecezalny, a czy aprobowana — nie wiadomo. Siwers rozumiał, że tego nie dość, że potrzebna powaga wyższej duchownej władzy, któraby sankcjonowała rozpowszechnienie między księżmi. A więc składa egzemplarze sufraganowi archidyecezij Mohylewskiej, prezesowi kollegjum, biskupowi Staniewskiemu, z rozkazem, ażeby przejrzał, zatwierdził i rozpowszechnił.

Ks. Staniewski — niegdyś przeor klasztoru dominikańskiego w Petersburgu, dziś starzec niedołężny, obłożnie chory, — nie odznaczał się nigdy gorliwością — jako kapłan katolicki i był zawsze pokorném narzędziem rządu. Jednakże ludzie wpływowi z kollegjum do tyla zdziałali, że stojąc już nad grobem i posiadając znaczny fundusz (bo każdej z trzech swoich r o d z o n y c h wnuczek dał po 30,000 rubli posagu) po raz pierwszy w życiu śmiał stawić czoło przeciw władzy. Jakoż z godnością odpisał, że chociaż uznaje za możliwe, ażeby rytuał był przełożony na język rosyjski, bo są przekłady na wszystkie niemal języki europejskie, a nawet na niektóre wschodnie — ale ponieważ w języku rosyjskim dotąd przekładu nie było, oświadcza przeto, że rytuał po rosyjsku wtedy dopiero będzie miał znaczenie, skoro go przejrzy konsylium św. w Rzymie a Ojciec Św. pobłogosławi i uchwali. Dodał też, że w wydrukowanym już rytuale dużo błędów i niezgodności z oryginałem łacińskim. — Wreszcie, jako przeszło 50-letni wierny sługa rządu, zaklinał i błagał, ażeby go usłuchano, oświadczając, że w przeciwnym razie wszelka gwał-

haben. Dem Rechtswege ueberwiesen, würden gewiss vielerlei Dinge zu Tage getreten sein, von denen man vielleicht gar nicht wünschte, dass sie an die Oeffentlichkeit kommen sollten.“(?) Przyp. Redakcij.

towność w tej mierze wywołać może nieprzewidziane i najzgubniejsze dla katolicyzmu i samego rządu następstwa.

Ks. Staniewski postąpił zacnie i sumiennie — trzeba mu oddać sprawiedliwość — lecz cóż na to hr. Siwers?

Oto jaki odpis otrzymał biskup Staniewski: przejrzany i uchwalony przez Waszą Excellencję przekład rytuału przesyła się w takiej to ilości egzemplarzy dla rozesłania po wszystkich dekanatach — dla wręczenia proboszczom do codziennego użytku. — Ks. Staniewskiemu zabrakło siły woli, ażeby nie posłuchać.

Dodać musimy, że minister Timaszew, zwierzchnik Siwersa, nic zgoła nie wiedział o tych wykrętach, i że on, jak również hr. Szuwałow, szef żandarmerij, najmocniej są przeciwni wszelkiemu uciskowi kościoła.

A jednak przekonać się możecie, jak wiele u nas znaczy niemiecka intryga! Mógłbym Wam przytoczyć nie jeden podobny fakt — ale to na później.

Nowe Książki.

Charles de Saxe Duc de Courlande. Sa vie, sa correspondance. Documents pour servir a l'histoire de son regne, publiés par Boleslas Łopaciński. Paris. Imprimerie D. Jouaust. R. S. Honoré. 338. MDCCCLXX. 8. pp. 200.

Wielorako nas książka ta obchodzi. jako materjał do historij Kurlandij niegdyś polskiej, jako przyczynek do bijografij księcia Karola, małżonka Krasińskiej, i jako owoc pracy naszego rodaka p. Łopacińskiego. Nie wiele się wszakże zapewne rozpowszechni, bo odbito ją we trzechset egzemplarzach tylko, i jako osobliwość rozdano. Wydanie jest z niezmiernym smakiem i wytwornością pańską wykonane; czyni ono zaszczyt prassom paryzkim z czasów przed oblężeniem. Zewnętrzna fizijognomija książki tak nadobna, iż już sama ku niej pociąga. Bądź co bądź książka jak panienka, powinna być czyściuchną i ładną, a choćby najskromniejsza i najtańsza być nią może — wydawca tylko smak mieć powinien.— To, między nawiasami. — Treść jest zajmująca, bo zawiera niewydane materjały, szczególniej listy księcia Karola z czasów jego nieszczęśliwych rządów w Kurlandij, na których, party przez Rosją, utrzymać się nie mógł. — Listy po większej części pisane są do Zabiełły, jenerał-majora, i do Platera wdy Mścisławskiego. — Poprzedza je obszerny życiorys księcia, wystawiający go, *sine ira et studio*, jakim był — wnukiem nieodrodnym Augusta II. — dobrym zapewne, ale dosyć płochym i lekkomyślnym. Co do rządów jego w Kurlandij, energiczne ujęcie ich nie na wiele się przydało — bo los tej prowincij zawczasu znać był przez możniejszego sąsiada rozstrzygnięty. Ks. Karol usiłując sobie dwór rosyjski pozyskać, odbył nawet podróż do Petersburga, gdzie dosyć był mile przyjęty przez cesarzową, i otrzymał zaręczenie, iż Bironów na księstwo Kurlandzkie Rosja popierać nie będzie. O tym pobycie w Petersburgu autor wie tylko z wydanych w Londynie Pamiętników cesarzowej Katarzyny, o których autentyczności powątpiewać się zdaje. — Popiera ją dobitnie świeżo wydany Pamiętnik króla Stanisława Poniatowskiego, który z większémi szczegółami daje opis pobytu ks Karola w Petersburgu, ale zupełnie zgodnie z opowiadaniem cesarzowej, a ówczesnej w. księżnej. — W Pamiętniku Poniatowskiego nie widać lub bardzo niewiele niechęci jego ku ks. Karolowi i nawzajem; to pewna wszakże, iż książę postarał się o odwołanie Poniatowskiego, czego mu pono Katarzyna później nie zapomniała.

Nie wiele i krótko o zamężciu z Krasińską, lecz z tego co tu czytamy domyśleć się łatwo nieszczęśliwego jej pożycia z niepoprawionym bałamutem, który ją całkiem opuścił i porzucił, tak że schronienia szukać musiała u rodziców i siostry Świdzińskiej. Później dopiero stosunkowo los jej się poprawił. — Oprócz rysu żywota ks. Karola, listów do Zabiełły i Platera, listów hr. Brühla do tegoż i hr. Browna, gubernatora Inflant, wydrukowane są dokumenta tyczące rządów ks. kurlandzkiego, nadania królewskie; reskrypta installacyjne i inne akta urzędowe, naostatek tablica jenealogiczna żyjących osób, które od jedynej córki Krasińskiej i ks. Karola pochodzą Wstępny życiorys napisany z wielką prostotą i jasnością, czyta się przyjemnie i daje wizerunek bohatera smutnego dosyć, którym czytelnik, mimo największej ochoty, zająć się nie może. — Ks. Karol miał pewne widoki na tron polski, które się prędko rozchwiały. Wychowanie jego, umiejętność języka, znajomość krajowych obyczajów, stosunki przygotowywały go dobrze do przyszłych rządów, — lecz ani w Kurlandij ani na polskim tronie Rosja już nikogo ścierpieć nie mogła, kto by nie był z jej ręki i w jej ręku. Poniatowski i Biron daleko dogodniejsi, zajmowali trony do czasu, póki się ich uprzątnąć nie podobało.

Dr. Omega.

Wiedza zastosowana do rolnictwa i fizjologij. Justusa Liebiga. Tom wstępny. Zeszyt 1. Kraków. Nakł. tłum. 1871. 8. str. 139.

Jest to, jak nas objaśnia tłumacz sam w przedmowie, tom wstępny do ósmego wydania Chemij w zastosowaniu jej do rolnictwa i fizjologij Justusa Liebiga; dzieło, które tak niezmierny rozgłos miało i taki wpływ wywarło na cały system gospodarstwa rolnego na świecie, iż zbytecznem byłoby nad zaletami jego się rozpisywać. — Pomimo to nie mieliśmy dotąd przekładu jego, choć na wszystkie europejskie języki — oprócz naszego — jest dawno dokonany. Tłumacz zamierzył wydać to dzieło o własnym koszcie, dzieląc je na sześć zeszytów i dodając doń uwagi tyczące się rolnictwa naszego. Chwalić to przedsięwzięcie, tak pożyteczne, tak konieczne w kraju rolniczym, gdzie się dziś jeszcze gospodarzy metodą nierozumowaną, wedle podań pierwotnych, spuszczając się na łaskę Bożą, sądzimy całkiem nie w miejscu. Niestety! nawet hreczkosiejom, owym szczęśliwym istotom, które dotąd uchodziły za najniewinniejsze i obchodzące się bez wielkiej mądrości — dziś koniecznie uczyć się potrzeba.— Ziemia się usamowolniła jak ludzie, i powiada, że bez pracy, zachodu myślenia nic nie da, a że podrożała i obłożono ją podatkami i co dzień grosza więcej potrzeba... jest to zadanie życia lub śmierci. Albo się uczyć ssać matkę rodzicielkę, albo trzeba z głodu umierać i bankrutować. — Niemcy płacą ten warsztat pracy bardzo drogo, bo na nim tkać umieją, my, nie mogąc konkurować z niémi, giniemy.

Kto nie miał zręczności nauk właściwych nabrać w szkołach specjalnych, jeszcze przez to zgubionym nie jest, jeśli pracować zechce. — Przy dobrej woli uczy się z książek prawie wszystkiego, co umieć kto pragnie i potrzebuje — nie wstyd jest, choćby pod wąsem, czerpać naukę późną, jeśli się wcześniej zaniedbało. Tom ten wstępny doskonale przygotowuje, zachęca, wprowadza do świątyni nauki — zasmakować w niej zmusza. W dodatku do rozdziału pierwszego, dającego zarys historyczny, tłumacz mówi o dawnej Polsce i jej rolniczych bogactwach, które wyczerpane zostały, gdyż stosunkowo ziemia więcej wydawała z siebie, niżeli jej użyznianiem powracano. „Miał więc — kończy ten przypis — niegdyś naród polski skrzynię bogatą, a z niej najśmielszą ręką skarby czerpał i trwonił. O ile poprzedzające pokolenia z tej skarbnicy ziemskiej pełniejszą ręką czerpały, o tyleż następnym mniej, a nam najmniej pozostać w niej mogło. Ocalić resztki pozostałe, by je i przyszłym pokoleniom przekazać, jest naszém zadaniem, gdyż inaczej i sami odwrócić klęsk wciąż nas trapiących nie zdołamy.“ Do rozdziału drugiego (gospodarstwo do r. 1840.) dodał także polski tłumacz przypisek, w którym wykazuje konieczność zmiany w systemie gospodarstwa rolnego i zażywiania ziemi, innémi niż dotąd pierwiastkami. — Z tego pierwszego zeszytu, gdyby on się rozszedł jak należy, a nadewszystko gdyby był czytanym, mógłby kraj istotne odnieść korzyści, dla tego, choć dzieła rolnicze w zakres naszego sprawozdawstwa nie wchodzą, — zwracamy pilną uwagę gospodarzy i rolników na pracę zacnego ziomka naszego, i usilnie prosiemy o jej poparcie.

J. I. Kraszewski.

Rozmaitości.

— * **Od p. Władysława Bełzy**, jednego z kolektorów „Spółki budowy teatru polskiego w ogrodzie Potockiego w Poznaniu,“ który w tych dniach ukończył swoją czynność, odbieramy następujące sprawozdanie:

„Od dnia 3. Lutego po 22. Marca r. b. w sześciu wyznaczonych mi do objazdu powiatach, sprzedałem akcij 218 na 132 uczestników i tak:

W pow. Szremskim miałem uczestników	34	
odmówił przyjęcia akcij		1
W pow. Krobskim uczestników	28	
odmówił		1
W pow. Kościańskim uczestników	24	
odmówiło		5
W pow. Szamotulskim uczestników	16	
odmówił		1
W pow. Bukowskim uczestników	18	
odmówiło		—
W pow. Wschowskim uczestników	12	
odmówiło		—
Ogółem akcjonarjuszy . . .	132	odm. 8

Z tych, uczestników:

kobiet	26
księży	13
obywateli	92
	132

Poznań d. 24. Marca. 1871. Wł. Bełza.“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Józef Ign. Kraszewski w Dreznie. — Nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie.